

TEATR
TV

W luksusowym maglu

Miroslav Krleža jest bardzo wybitnym pisarzem jugosłowiańskim, a „Bank Glembay” — to jedna z najbardziej znanych jego sztuk, często grywana nie tylko w Jugosławii, ale także poza jej granicami. Jednakoż czas płata figle znakomitym pisarzom i ich czołowym utworom; wznawiane po latach, tracą powaby z okresu młodości. Trzeba powiedzieć otwarcie, że czas obszedł się okrutnie z „Bankiem Glembay”. Jest to sztuka kompletnie zwietrzała, ocierająca się niebezpiecznie o groteskę. Gdyby w realizacji cokolwiek ją jeszcze przerysować, wyszedłby z tego Witkacy.

Pewno w latach dwudziestych, gdy rzecz została napisana — brzmiała ona odważnie, ostro, ba, może nawet cokolwiek rewolucyjnie. Mocne zakamarki bankierskiego pałacu, ohydne sekrety potężnego rodu, zgniłe miazmaty unoszące się nad tym wyfraczonym i wydekoltowanym „towarzystwem”, te wszystkie ladacznice zamieniające się w baronowe i potentaci będący w istocie małymi aferzystami, cały ten świat demaskowany i policzkowany, a przecież autentycznie groźny, przesądzający w jakiejś mierze o losach świata — budził zapewne na widowni dreszcz lęku, a zarazem obraz jego degrengolady wydobywał westchnienie ulgi: dobrze, że mu się dostało!

Dziś sprawa cokolwiek zszarzała; zwłaszcza że temat należy do najbardziej ograniczonych — i w teatrze, i w filmie. Byli „Więźniowie z Altony”, był „Zmierzch bogów”, Helmut Kautner zrealizował własną wersję Hamleta wśród milionerów. Na „Bank Glembay” patrzy się dziś z niejakim rozbawieniem; wszystkie te wstrząsające rewelacje (baronowa śpiąca ze spowiednikiem, siostra zakonna żyjąca z kardynałem, stary bankier żeniący się z kobietą z półświatka) brzmią jak mrozące krew w żylach „rarogi” opowiadane w maglu.

Teatr, który decyduje się wystawić sztukę wykopaliskową, taką jak „Bank Glembay”, musi, niestety, ponieść przykre konsekwencje tej decyzji. (Podobnie jak ci, którzy zabierają się dziś za wskrzeszanie Przybyszewskiego.) Unowocześnić tego niepodobna. Muszą być zatem mdlenia, spazmy, przewracania



Hanna Bedryńska i Andrzej May w „Banku Glembay” Mirosława Krleży

nia białkami oczu, łapania się za serce, wyniosłe pozy, łamiące się od nadmiaru wzruszenia głosy. Jest to świat „nagiej prawdy”, która jest już nagą konwencją; znajdujemy ją dziś w operetce, gdzie hrabia jest wyniosły, baronowa zalotna i trochę podejrzaną konduity, stary mąż — zabawny zazdrośnik itd.

Patrząc na spektakl w łódzkim teatrze TV, nie odnosiłem wrażenia, aby aktorzy traktowali tę sztukę jako zło konieczne (może się myle), z ogromnym zapalem przeżywali to wszystko, co było do przeżywania; wyglądało to w sumie zabawnie i prowincjonalnie, ale czy w ogóle mogło wyglądać inaczej? Pewien dysonans wniósł Andrzej May, gdyż odnosiło się wrażenie, że on rzeczywiście „chce coś z tego zrobić”. Z sympatią obserwowałem jego szlachetne wysiłki, zwłaszcza że istotnie pojawiały się w jego roli mo-

menty jakiejś artystycznej prawdy, generalnie nieobecnej w tym przedstawieniu. W tej sytuacji nie wydaje mi się, aby wymienianie wykonawców poszczególnych ról było aktem kurtuazji. Spuśćmy kurtynę.

KONRAD EBERHARDT
Fot. JANUSZ TYLMAN

P.S. Przypuśćmy, że recenzent pragnie obdzielić wykonawców poszczególnych ról komplementami. Jest to jednak zadanie niewykonalne, gdyż nie sposób zapamiętać kto kogo grał, zwłaszcza gdy chodzi o teatr pozawarszawski. Tygodnik „RTV” nadal wymienia nazwiska wykonawców sumarycznie, nie podając obsady. (K.E.)

Teatr Telewizji, Łódź (25.1.1971).
Mirosław Krleža „Bank Glembay”. Przekład — Zygmunt Stoberski. Adaptacja tv i reżyseria — Ryszard Sobolewski. Scenografia — Henri Poulain. Reżyseria tv — Mieczysław Małysz. Oprac. muzyczne — Krzysztof Lopałewski. Wykonawcy: Mirosław Szonert, Hanna Bedryńska, Andrzej May, Ewa Krzyńska, Wojciech Piłarski, Maciej Małek, Józef Zbiróg, Bogdan Wiśniewski, Andrzej Łagwa.